Nr. 5. We Lwowie dnia 4. lutego 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Muzeum Społeczne w Paryżu.

II.

»Z fal ta najgłośniej huczy, która ma osiąść na piasku«. Aforyzm ten dobrze jest sobie przypominać przy wczytywaniu się w obiegające świat telegramy sensacyjne i alarmujące wiadomości, zwłaszcza jeżeli pochodzą one z kraju wielkich skandalów i scen teatralnych — z Francji... Kiedy bowiem hałaśliwa fanfara reporterska, ten wtór nieodzowny wszelkiej hecy parlamentarnej, głosi światu o dziejących się tu »wielkich wypadkach«, inne wypadki, prawdziwie wielkie dla dalszych losów społeczeństwa, rodzą się i dojrzewają w ciszy.

Jednym z takich doniosłych, a mało notowanych na giełdzie dziennikarskiej objawów jest dojrzewający w wyższych klasach Francji zmysł społeczny. Nie umiem nazwać inaczej zjawiska tej nieprzerwanej ewolucji poglądów, jaka cechuje ostatnie pół wieku francuskich stosunków społeczno ekonomicznych. Nie miejsce tu na przegląd bodaj wytycznych punktów tej ewolucji; dość zaznaczyć, że burżuazja francuska, która przed laty była klasyczną przedstawicielką zasad liberalizmu krańcowego, która widziała w stosunkach ekonomicznych klas same »harmonje«, — dziś nie tylko nie podlega tej różowej halucynacji klasowego egoizmu, lecz nawet coraz silniej sama woła o naprawę stosunków istniejących, więcej jeszcze: sama chce dać przykład tej naprawy, rozpoczynając od siebie.

Przed kilku laty przeciwnik socjalizmu Mermeix wydał książkę bardzo popularną p. t. »La France socialiste«. Końcowy ustęp tej książki zawierał następującą myśl: Hasłu socjalistów, łączących się przez wszystkie kraje, przeciwstawmy i my (burżuazja) hasło łączności. Łączmy się! Nie dla tego jednak, żeby prowadzić walkę z dążeniami ludu, lecz żebyśmy wspólnie obmyślili przejście od złych stosunków dzisiejszych do lepszej przyszłości«. Ten morał Mermeix'a nie był głosem oderwanym w społeczeństwie francuzkiem: już pierwsze lata trzeciej respubliki były zaraniem nowego zwrotu w ekonomji francuskiej, zwrotu, który się obecnie dokonał na całej niemal linji starej szkoły pod przewodnictwem Le Play'a. I oto widzimy dziś, że już nie żywioły rewolucyjne, lecz najbardziej interesowane w utrzymaniu »porządku« społecznego sfery wołają we Francji o naprawę stosunków, same dają inicjatywę i ponoszą koszta pierwszych prób. Że ewolucja ta nastąpiła pod obuchem wielu konieczności, że jeżeli dziś n. p. Anatol Leroy-Beaulieu zwołuje zgromadzenia, na których tłumaczy warstwom uprzywilejowanym ich obowiązki, to jest to poniekąd odpowiedź na inne zgromadzenia, zwoływane przez socjalistów i radykałów — to jest widoczne.

Fakt jednak trwa w swej mocy: faktem tym jest ruch w sferach uprzywilejowanych, ruch, zapewne mający na celu i obronę swych przywilejów, lecz zarazem uważający za właściwy środek tej obrony nie represje, nie środki reakcyjne, lecz t. zw. »system korekcyjny«.

Cóż to jest system korekcyjny? Wyrazem systemu tego są unje i stowarzyszenia pokoju społecznego, towarzystwa opieki nad nędzą, zakłady i instytucje, wspierające warstwy pracujące itd. itd. Wszystko to, słowem, co niesie ulgę dzisiejszym cierpieniom wydziedziczonych, p o p r a w i a j ą c tem samem niedoskonałe prawa i urządzenia społeczeństwa współczesnego. Nie jest to więc filantropja, lecz systematyczny całokształt ustępstw prawnych z poczucia obowiązku społecznego płynących: klasy uprzywilejowane Francji masowo przystępują do »dzieła« Le Play'a i jed-

nomyślnie przyjmują konieczność t. zw. instytucji patronalnych. O całokształcie instytucji patronalnych będę miał sposobność pomówienia w blizkiej przyszłości. Dziś, zaznaczając, jak sprzyja ich rozwojowi opinja klas uprzywilejowanych, jedno mam tylko na widoku; oto rozwój moralny i społeczny tych klas we Francji. Poczucie obowiązku społecznego staje tu na miejscu drapieżnej obrony swego przywileju, i kiedy, tak odradzając się, wołają te warstwy o uszanowanie praw swego starszeństwa, kiedy — nie przesądzając już o przyszłości — dziś nawołują rzeczników reformy do oględniejszego szafowania jej urokami, musimy przyznać, że warte są przynajmniej nieuprzedzonego sądu. Mówią o prawie starszeństwa — trudnoż żeby wcale dziś o tem nie mówili, skoro to starszeństwo w kulturze jest jednak faktem. Ale jednocześnie nie ograniczają się do samego tylko stwierdzenia tego starszeństwa, bo zwiększają swoją ofiarność społeczną, zwalczać usiłują sami nałóg egoizmu klasowego. Nie można zbywać lekceważeniem dzieła tych syndykatów, kas, stowarzyszeń i t. d., które dają świadectwo dobrej woli tych »starszych«. Nie można wreszcie wszystkiego tłumaczyć owym obuchem konieczności, boby się ostatecznie nie widziało wówczas różnicy między wezwaniem siły zbrojnej dla stłumienia strejku, a utworzeniem instytucji korzystnych dla robotników, które również prowadzi do tego celu... Różnica ta jest i tkwi w tym właśnie procesie dojrzewania moralnego i społecznego klas uprzywilejowanych, o którym wspomniałem na wstępie.

Przed kilku laty świetny objaw takiego dojrzewania można było zaobserwować w Londynie. Wszyscy zapewne pamiętają sensację, wywołaną przez Waltera Besant'a, która związała się z gorącą propagandą Alfreda Toynbee'go i uwieczniła się we wspaniałej instytucji Pałacu Ludowego. Uprzywilejowany, bogaty Londyn zajrzał wówczas do przerażającego swą nędzą kwartału i wzdrygnął się na widok miljona tych nędzarzy. Utworzono wówczas wiele pięknych instytucji oświatowych i filantropijnych, zakrzątnięto się około ułatwienia sferom robotniczym dostępu, bodaj w święta, do tej świetnej kultury, w otoczeniu której »starszyzna« społeczna spędza swój dzień powszedni. Jednoczeście niemal dwa wielkie ruchy przeniknęły do warstw uprzywilejowanych: propaganda generała Boot'a i armji zbawienia, oraz słynne »University extention«.

Wrzawa dziennikarska, wywołana temi faktami ustała — nie ustała jednak praca inteligencji angielskiej, której ostateczne rezultaty stwierdza dziś dwukrotnie zmniejszona nędza i znacznie podniesiony poziom oświaty w kraju. Dla doktrynerów w fakcie tym tkwi tylko świadectwo zwycięztwa ich doktryny, w istocie jednak fakt jest o wiele głębszy, niż wszelka doktryna. Fakt ten przynosi dobrą nowinę o uratowaniu kilkuset tysięcy jestestw ludzkich, dokonanem mocą odrodzenia się moralnego grupy społecznej, zwanej »warstwami uprzywilejowanemi«.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, że w zjawisku tego odradzania się i dojrzewania warstw uprzywilejowanych tkwi punkt ciężkości postępu społecznego. Postęp społeczny nie daje się zmonopolizować ani przez »armję roboczą«, ani przez warstwy tak chętnie przyznające się do przywilejów starszeństwa. Jeżeli jednak te warstwy od obrony przywilejów przechodzą do pełnienia obowiązków, od wygodnej abstynencji do szczerej pracy publicznej — można jedno twierdzić napewno: Kraj taki i to społeczeństwo zdobyło sobie nie panaceum postępu, lecz rękojmię jego normalnego przebiegu. Wszystkie bowiem filantropijne, idealne czy patronalne instytucje, cały ów system środków »korekcyjnych«, łagodząc i zmniejszając niedobory, jest niejako klapą bezpieczeństwa, zapobiegającą gwałtownemu popsuciu się machiny społecznej. Winne o tem pamiętać te warstwy, które się z urodzenia podają na maszynistów tej machiny.

Uwagi powyższe niech usprawiedliwią mię wobec czytelnika, któremu, jako przykład instytucji, stwarzanych dziś przez inteligencję francuzką, podałem opis »Muzeum Społecznego« w Paryżu.

Wybrałem z rozmysłem instytucję »patronalną« taką, która najmniej może wywołać zarzutów partyjnych, która z drugiej strony ma dość szerokie podstawy do rozwinięcia się w przyszłości i może być poniekąd uważana za model w swoim rodzaju.

W dalszym ciągu poznamy inne objawy tego zjawiska, które nazwałbym dojrzewaniem społecznem inteligencji francuzkiej: Muzeum zgromadziło wszystkie potrzebne do tego materjały.

Antoni Potocki.

PROSTA OPOWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Każdego roku pisarz ofiarowywał popu dość okrągłą sumkę »na kościół«, pop zaś nie szczędził w swych raportach dobrych kresek pisarzowi, pozostawiał mu przytem zupełną swobodę w uciskaniu i prześladowaniu chłopów. Pisarz powtarzał im zawsze jedną i tęż samą zwrotkę:

— No cóż gospodarzu, możecie mi dać tyle a tyle? Nie? no to pożałujecie! już ja wykryję, że tam któryś z was był unitą...

Iluż z tych nieszczęśliwych sprzedawało ostatnie bydlę z obory, aby opłacić nigdy nienasyconego żarłoka!

Strażnicy spełniali równie szczytny obowiązek psów gończych i ciągnęli, co się dało na swoją rękę. Można więc wyobrazić sobie położenie włościan, żyjących pod obuchem ciągłych kar i denuncjacji i w swej nieświadomości, nie umiejących rozróżnić prawdziwego niebezpieczeństwa od urojonego.

Bezzwłocznie po odjeździe naczelnika, pisarz — lekko jeszcze wzruszony łaskawem przyjęciem i obfitem śniadaniem — udał się do popa. Były to wielce przez niego cenione odwiedziny, podczas których wczytywał się z przejęciem w »Nowiny Chełmskiego episkopatu«. Pismo to, ostremi kolcami dodawało jeszcze bodźca gorliwości politycznej i religijnej pisarza. Z »Nowin« dowiadywał się np.: jakie straszne prześladowania cierpią Rusini unickiego wyznania w Galicji, lub też jakie intrygi knuje dom Austro-Węgierski w Serbji i Bulgarji! Wszystkie tego rodzaju wiadomości, zaczerpnięte ze szlachetnego organu, służyły za temat niewyczerpanych rozmów z popem.

— Te bydlęta, te chłopy — oburzał się pisarz — nie umieją ocenić łaski, jaką ich obdarza nasz car najmiłościwszy, pozwalając im należeć do tego samego kościoła, co i on! Wszędzie tylko zdrada i podłość! wszędzie intrygi! wszędzie spiski, knute nietylko przez chłopstwo, ale i przez szlachtę i księży! Kiedyż wybije godzina sprawiedliwości i prawdy? Gdybym ja był carem, inaczejbym z nimi począł! car jest za dobry, za miłościwy!...

— Wszak i najświętsze sprawy miały zawsze nieprzyjaciół, — odezwał się chrapliwy bas popa, — czyż walka ciemności ze światłem nie trwa wiecznie? Szatana nie tak łatwo zwalczyć, a do tego dopomagają mu katolickie klechy i szlachta.

— Doprawdy ze łzami czytam o tych prześladowaniach biednych unitów w Galicji, oni tak wzdychają do powrotu na łono prawosławnego kościoła... — zaczął znów pisarz w stylu prawowiernego dziennika. Oczy miał pełne łez, albowiem wódka rozmarzała i usposabiała go nader smętnie i czule.

— A te Serby, te Bulgary, — wtórował pop, — po tylu poświęceniach z naszej strony, powołują na tron Niemców! Czyż to nie wyraźne dzieło szatana?

— Ale my, batiuszka, my, wierni słudzy kościoła prawosławnego i cara, my ukarzemy buntowszczyków! my ich zmusimy do posłuszeństwa... a temu Błażkowi, który śmiał zbezcześcić poświęcaną ziemię, my jemu pokażmy! — dowiedziemy, że to on... ale ba, jak tego dowieść?

— Już ja go wezmę w obroty! — rzekł pop.

Następnego dnia Błażek został skazany na podwójną karę za to, że dziecko jego najmłodsze, liczące już cztery miesiące, nie było jeszcze ochrzczone w cerkwi. Trzeba było sprzedać krowę i jałówkę roczną, śliczne, wypieszczone bydlątko, które jak pies chodziło za starszą dziewuchą i przyrzeczone jej było w posagu.

Nie jedna łza pociekła z tego powodu w zagrodzie Błażka — on sam nie ugiął się.

Zboże obrodziło tego roku silnie. Oj, trza było okrutnie pracować, bo najrobotniejsza para rąk spoczywała pod żółtym piaskiem cmentarza, ze świętym obrazkiem w palcach...

Od świtu cała rodzina była w polu. Nawet najmłodsze maleństwo, zawieszone było w chuście pomiędzy dwiema żerdziami i pozostawione pod opieką 3-letniej Marysi.

Naraz dziewczynka, kołysząca małego braciszka, poczęła rozpaczliwie krzyczeć. Matka, myśląc, że ją coś ukąsiło, przybiegła żywo, ale i ją strach ogroził zimny.

— Strażniki! — wyszeptała i zbladła jak chusta.

— Czego te psy chcą jeszcze od nas? — spytał nadchodzący Błażek.

— No, Błażek! — zawołał jeden ze strażników — pewnie cię żniwa zmęczyły, to też odpoczniesz sobie, pójdziemy razem w drogę!

— Ja ino w grobie odpocznę! — mruknął Błażek ponuro.

— Nadeszły jakieś papiery do świaszczennika, powiada, że ta kobieta nie jest twoją żoną.

Chłop nie rzekł słowa, rzucił tylko strażnikowi pogardliwe spojrzenie.

— Czy ty masz brata w Gazówce?

— Abo co?

— Czy on ożenił się z siostrą twojej żony?

— To i cóż?

— Z jej starszą siostrą?

— No, to i coż?

— To to, że ta baba nie jest twoją! — rzekł strażnik, wskazując Jagnę.

— Może ona twoja?! — ryknął chłop, którego gniew zaczynał unosić.

Strażnicy odpowiedzieli wymyślaniem, — przyszło znów do przekleństw i pogróżek.

— Taki jest prawosławny zakon! — krzyczeli strażnicy — dwóm braciom niewolno żenić się z dwiema siostrami!

Następnie oznajmili Błażkowi rozkaz stawienia się nazajutrz u naczelnika powiatu, który mu przeczyta wyrok, przysłany prosto z Chełmskiego konsystorza i wzbraniający odtąd żyć Błażkowi z Jagną.

Chłop słuchał osłupiały, błędnym wzrokiem wodził do okoła, sierp wypadł mu z ręki.

— Jagna... — wybełkotał — ja... oszaleję...

Kobieta objęła go.

— Józek, — prosiła — nie trać głowy, mój nieboraku serdeczny, wspomnij se na dzieciska... sieroty...

Chłop oddychał z trudem, nie patrzył na nikogo.

— Pamiętaj, Błażek! — zawołał jeszcze odchodząc jeden ze strażników, — jutro masz być w kancelarji naczelnika, do miasta pójdziemy razem.

— A bodaj was olśniło! i ja też z wami pójdę! — odkrzyknęła kobieta, — już ja będę umiała z naczelnikiem gadać! już ja jemu powiem, kto my jesteśwa! czy to cała wieś nie widziała, jak-ci nam ksiądz proboszcz przed ołtarzem ręce związał?... a dyć to stoi napisane... ja jego jestem, a on mój!

Naczelnik, przed którym Błażkowie stawili się nazajutrz, na widok łez Błażkowej i jej bezmiernej rozpaczy, uczuł się nieco poruszonym. Rozumiał on dobrze całe bezprawie i okrucieństwo postępowania względem tych nieszczęśliwych, ale brakło mu odwagi, żeby wystąpić przeciw rozporządzeniom prawosławnego konsystorza. I naczelnik miał nieprzyjaciół, mogliby go jeszcze oskarżyć o ustępstwo, tolerancję zbytnią, pozycja jego była chwiejna, żeby więc nie uledz własnej słabości, począł tupać nogami i głośno krzyczeć:

— Kanalje, zbóje! wasze zuchwalstwo i nieposłuszeństwo muszą być ukarane! Jak śmiecie upierać się, że małżeństwo wasze jest ważne, kiedy ja i świaszczennik powiadamy wam, że tak nie jest. Nauczę ja was posłuszeństwa! zostawiam wam dwa tygodnie czasu do podzielenia się tem, co macie, jeżeli zaś tego sami nie zrobicie, to was do tego zmuszą!

— Przewielmożny naczelniku! — zaszlochała Błażkowa — toć ulitujcie się nad nami! cóżem ja, nieboga, winna, abo on, abo dzieciaki? O, Matko cudowna, przyczyńże się za nami!

— Milczeć! — krzyknął naczelnik — cóż to, nie nażyliście się jeszcze z sobą? poszukaj sobie innej baby, Błażku, zobaczysz, znajdziesz młodszą, ładniejszą... czy tylko ta jedna na świecie?

— Ja tylo tej jednej przysięgałem wiarę, i dochowam jej, tak mi Panie Boże dopomóż! — wyrzekł chłop z powagą i przejęciem, — Pan Bóg ino osądzi: moja ona, czy nie, ludziom wara!

— Już tam świaszczennik wie lepiej od ciebie, co Pan Bóg ma sądzić, a co nie... to do ciebie nie należy. Spójrz na mnie, ja nie mam wcale żony i dobrze mi! a ty się upierasz przy takiej starej babie!

— Chodźwa, Jagna, — ozwał się Błażek z godnością, — bo ino obraza boska słuchać takiego gadania, człek grzeszny nie w mocy łamać przysięgi, będziesz ty, Jagna, moja do śmierci!

Wyszli. Naczelnik zaklął i przez chwilę patrzył za nimi przez okno. Chłop szedł naprzód ze zwieszoną głową, ciężkie jego buty stukały głośno po kamieniach, kobieta wlokła się za nim o kilka kroków, trzymając róg fartucha przy oczach.

— Nie wiem, doprawdy, po co to wszystko, — myślał naczelnik — ale cóż robić? nie mogę przecież dla nich narażać siebie... przeklęte popy zarazby mnie zaskarżyli...

Błażkowie wrócili do pracy, ale nic ich już nie cieszyło, robota nie szła, do czego się jeno wzięli, to im z ręki leciało. Czuli nieszczęście, zawieszone nad głową i nie zaznali już spokoju ni we dnie ni w nocy. I chociaż powtarzali sobie, że ich nic rozwiązać nie może, ponieważ ksiądz ich ręce stułą związał, niemniej wielki ciężar uciskał ich serca. Stracili chęć do jadła i nawet bez żałości patrzyli, jak deszcz ulewny smagał bujne, dojrzałe kłosy. Smutek ponury osiadł nad zagrodą Błażków. Czas biegł chyżo. Dzień rozłąki, naznaczony przez naczelnika zbliżał się wielkim krokiem.

Błażek poszedł po radę do proboszcza. Ksiądz zapłakał, oburzył się, ale wobec bezprawia popów był bezsilny.

— Jakąż ja ci mogę dać radę, biedaku? Gdybym choć słowo powiedział za tobą, więcejbym ci tem zrobił złego, niż dobrego. A toż to koniec świata, żeby męża z żoną rozdzielać! Boże, Boże, zmiłuj się nad nami!

— A żeby tak posłać pisanie do cysarza!

— Czy ja wiem? probuj moje dziecko, probuj... nigdy jeszcze nie słyszałem o takiem prawie... oni zdolni są do wszystkiego, pytam tylko, co im z tego przyjdzie, żeby was rozłączyć?

— Pewnikiem chcą znowuj pieniędzy, zkąd brać? dyć mnie już do cna zniszczyli... psiawiary! moja pszeniczka gnije na polu!

Wychodząc od proboszcza, Błażek spotkał pisarza. Chciał przejść koło niego i udać, że go nie widzi, ale wielki urzędnik sam zatrzymał wieśniaka.

— Słowo daję, — rzekł ze śmiechem — a toć to Błażek! założę się, że wraca od dziewuchy. To dopiero ma szczęście, stary hultaj! pozbędzie się starej baby i może sobie młodej szukać! Kiedyż wesele?

— Oj, nie urągalibyśta mojej niedoli, a lepiej mi dopomogli... przecież pan pisarz wie, jak do cysarza pisać!

— Do cesarza, do cesarza! fiu, fiu, aż tak daleko! czy myślicie, że cesarz ma tylko was na głowie? Głupi chłop!

— Oj, że głupi, to głupi, — szepnął Błażek smutnie — głupi, bo nijakiej rady naleść se sam nie potrafi.

Pisarz wsunął obie ręce do kieszeni, roześmiał się i rzuciwszy raz jeszcze Błażkowi:

— Głupi chłop! — ruszył w swoją stronę.

W parę dni później, kiedy Błażek zajęty był w polu ze starszymi synami, strażnicy zajechali przed jego chałupę, wywlekli z niej Jagnę i zmusili ją z dwojgiem młodszych dzieci wsiąść na wóz, którym przyjechali. Rzekłbyś — nadszedł sądny dzień. Dzieci wrzeszczały co sił, baby wokoło lamentowały jeszcze głośniej, strażnicy nie żałowali najbrutalniejszych wymysłów.

(D. c. n.)



Z domu niewoli.

CYKL PIEŚNI.

Sursum corda!

Ponad tę walkę, co rwie ludzkie siły,
Ponad te ślady, które krwią się znaczą,
Nad te mgły szare, co nam słońce ćmiły,
Nad beznadziejność zapadłej mogiły,
Któraby życie zatruła rozpaczą —
Hej! w górę serca! ty zastępie młody,
Czujesz? pod stopą drży ci próg swobody...

*

I ponad wężów gadzinowe syki,
Którym wygodne ciepłe legowiska,
Ponad zaprzańców tchórzliwe okrzyki,
Co narodowe zdusili ogniska
I myśli każdej boją się, co błyska
I w krwi się stroi ofiarną purpurę —
Ponad to wszystko, młode dusze, w górę!

*

Ponad tę ciszę zastoju grobową,
W której pełzają pogodzeni z losem,
Wystrzel, młodości, dumną twoją głową
I rzuć, jak piorun, twoje żywe słowo,
Walcz twojem ciepłem, światłem, pieśni głosem,
I, raz porwana odrodzenia ruchem, —
Na tej wyżynie trwaj niezłomnym duchem!

Szczęsna.

PRZY STUDNI.

(NA BUNARU).

POWIASTKA Ł. K. LAZAREWIĆA.

(Dokończenie).

V.

Miesiąc zachodził. Wszystko pomarło, aby jednak ożyć ponownie, ale serce Anoki ogarnia coraz bardziej jakaś martwota.

Dłużej w takim stanie nie może już pozostać; lecz cóż ma począć?

Powrócić do ojca — ale cóż mu powie? »Dziadunio kazał wszystkim ulegać mym rozkazom«. — Nie, tylko nie do ojca. A noc ma się już ku końcowi, nareszcie przeminie; błyśnie dzień i słońce pocznie rozgrzewać, a ona nieszczęśliwa, gdzie ma się ukryć? Czy szaleć dalej? — ale już i tego zanadto. Pogodzić się — lecz jak? Chyba poniżając się? Och!

Myśli krzyżują się, jak nici na pstrym kilimku, kołują, plączą się; znużenie zwycięża namiętność, miłość, nienawiść, głód i pragnienie. Niby góry ogromne zwaliły się na jej powieki, a jednak nie mogła zmrużyć oczu; tak się jej zrobiło ciężko, nieznośnie i nudno, że gdyby tylko mogła, cały świat przewróciłaby, lub położyła głowę pod młyński kamień, aby tylko zasnąć, chociażby na wieki. Ale sen nie słucha rozkazów dziadunia, ani lęka się jego przekleństwa.

Anoka podnosi się. Spostrzega ciemną postać Petrji nad sobą.

Nagle poruszyło się coś w jej piersiach. Całkiem niespodzianie, lecz bardzo mocno zadrgała jakaś struna chrześcijańska w jej sercu.

— Petrjo, — zawołała — idź! spocznij!

Petrja nic nie mówi. Rzuca kij i odchodzi.

— Petrjo!

Petrja drgnęła i stanęła jak wryta.

Lecz cóż to, o Boże? Cóż to za myśli? Gdzie ją one niosą?...

— Petrjo, siostro, przebacz mi!

Serce kobiece odezwało się, — zadrżało i zmiękło.

— Anoko, duszyczko, niech ci Bóg przebaczy!

— Petrjo, siostro...

Chwyciła ją za rękę, posadziła obok siebie, objęła ją i obie zapłakały.

Chlipią, jak niemowlęta!

Milczenie. Nic zgoła nie słychać; tylko te dwie, objąwszy się, łkają i całują się.

Anoka całuje byle gdzie, Petrja zaś ją po szyji i czole.

— Petrjo, serce moje, muszę umrzeć! Ty mię, siostro, umyjesz! Rzuć na mnie bławatków i włóż mi do trumny jabłko napoczęte*. Nikt mię prócz ciebie nie kocha.

— Nie mów tego, głupia moja; jakto nikt ciebie nie kocha? Wszyscy cię kochają.

— Nie, nie, wiem ja!

— Jakżeż możesz wiedzieć, pieszczotko moja, jeśliś dotąd z nami nawet nie rozmawiała? Wolałabym raczej umrzeć, aniżeli pozwolić, aby cię ktoś skrzywdził, choć słówkiem.

Znowu płaczą i ściskają się.

— A dziadunio?

— Dziadunio, duszyczko, jest stary i dobry. Ot, pójdź sama do niego, a przekonasz się.

— Dobrze, pójdę! Bądź zdrowa, serce moje... jeśli umrę...

Petrja zamknęła jej usta ręką.

Anoka odsunęła rękę i otoczyła nią swą szyję.

— Jeślibym umarła, nie pamiętaj tego zła, com ci uczyniła. A teraz, proszę cię, odejdź.

— Dokądże pójdziesz? — pyta Petrja.

— Puść mię! Tak mi błogo! Puść mię na Boga, zaklinam cię na dziecię twoje, puść mię. Nie wiesz, co się ze mną dzieje!

Petrja wychyliła się z za śpichlerza i patrzy, kędy idzie Anoka. Ale noc jeszcze panuje, więc nie może dojrzeć, jak Anoka przyszła pod drzwi izdebki dziadunia i usiadła na progu.

Ale i dziadunio nie zmrużył powiek owej nocy.

Zapiały koguty, pierwsi gońcy nowego dnia i życia. Nigdy jeszcze ich pianie nie wydało się tak pięknem Anoce.

Dziadunio podniósł się. Odrzucił kołdrę, przeżegnał się, podwinął nogi pod siebie i pozostał w ciemnościach, siedząc na łóżku, zatopiony w myślach.

Koguty zapiały powtórnie.

Dziadunio wstał i poszedł ku studni.

Na progu spostrzegł, niby przez mgłę, ludzką postać.

— Kto tu jest? — zapytał.

— To ja, dziaduniu, Anoka! Chcę umrzeć! Przebacz mi, jeśli możesz!

Dziadunio drgnął i zachwiał się.

— Wielkim jest przed Bogiem grzech twój, dziecię! Czy widzisz te moje włosy? I owca nie ma bielszych!

Anoka chwyciła połę guni, którą okryty był dziadunio i pocałowała ją.

— Bardzom zgrzeszyła, zamąciłam ci dom cały. Przebacz mi w imię Boże!

Nic łatwiejszego, jak wywołać łzy u starca.

Zapłakał. Oburącz ujął ją za głowę i pocałował.

— Chodź tutaj! — rzecze.

Weszła z nim do izby.

— Siadaj tu!

Usiadła na ławeczce, dziadunio zaś usadowił się na łóżku.

— Masz, łuszcz ten groch!

Łuszczy groch.

Dziadunio z zadowoleniem patrzył jak ona łuskała.

Oboje milczą, tylko serca ich biją. Poczyna świtać.

— Chodź teraz tędy!

Idzie za nim do stajni i kładzie siana wszystkim koniom, jak on jej pokazywał. I nie lęka się niczego, nawet owego gniadosza Blagojowego, który wierzga i kąsa.

— Chodź teraz tu!

Zaprowadził ją do chlewa. Rozbiła dziewięć dyń i rzuciła je trzodzie chlewnej.

Wszyscy domowi przebudzili się, powstawali i lękliwie, z wytrzeszczonymi oczyma, śledzą dziadunia i Anokę, ale starają się czynić to tak, aby ich nie spostrzeżono.

Arsen tak się zaniepokoił i zmięszał, że wdrapał się na orzech, ukrył się pomiędzy liśćmi i spogląda na cud niewidziany.

Dziadunio odmłodniał. Idzie prawie podskakując.

— Chodź ku studni! — mówi.

Przyszli ku studni.

— Wydobywaj! — każe.

Anoka wydobyła wiadro.

— Lej!

Anoka zaczerpnęła czerpakiem i wyplusnęła dziaduniowi całe wiadro na twarz i głowę.

— Otrzyj mię!

Anoka rozplotła warkocz i poczęła nim ocierać dziadunia.

Łatwo otrzeć wodę, ale starzec słabe ma oczy, więc łzy toczą się bez przerwy.

Dziadunio spostrzegł na dziedzińcu kilku z domowych.

— Chodźcie tu! — zawołał. — Czemu nie myjecie się? Widzicie: Anoka czeka, aby podawać wodę.

Jakaś dziecinna powaga panowała na jego twarzy.

— Wszyscy, wszyscy! wszystkim będzie podawała biedaczka.

---

* Zwyczaj ludowy przy grzebaniu umarłych.

Ze strachem zbliżają się mężczyźni i kobiety ku studni i niby panowie, po umyciu się, powiadają Anoce: »dzięki«.

Rozjaśniło się w oczach Arsena. Przyszedł i on do studni, rozstawił nogi, nachylił się i podstawił ręce.

— Dawaj-no! — rzecze.

Poczęła lać.

Arsen czuje się w dziewiątem niebie.

— Ależ jak ty lejesz? Wszystko na guziki od koszuli.

Nie będzie ona, nie będzie! Lewą ręką podnosi mu rękawy, a prawą leje z czerpaka.

Petrja z twarzą mokrą od łez, biega od jednej bratowej do drugiej, coś szepce, macha rękami i bije się w piersi.

Dziadunio poszedł chwiejnym krokiem do swej izdebki. Otwiera skrzynię i wydobywa naszyjnik ze starych talarów. Chowa naszyjnik i mały ręczniczek w zanadrze i idzie znowu ku studni.

Wszyscy już się byli umyli, a wszystkim podawała wodę Anoka.

Wszystko to miało wygląd jakiegoś tajemniczego obrzędu religijnego i wszystkim dźwięczało w uszach coś niby »Głos Pański na wodach«. I gdyby gdzieś wystrzelono z moździerza, wszyscy poczęliby się żegnać.

Z cichą powagą spoglądał dziadunio na wszystkich. Biedny, biedny starzec!

— A jej nikt wody nie poda? — zapytał.

Wszyscy rzucili się ku wiadru.

— Tak, teraz, kiedym przypomniał. Teraz sam wolę podać.

— Masz, umyj się dziecię!

Nie wiadomo, co więcej drżało, czy jego ręce, czy serce Anoki.

Otarł ją swym ręcznikiem Zawiesił jej talary na szyji.

— Wszak ona sierota! — rzecze. — Ale ja wam powiadam, com wam też wczoraj mówił: »Ktoby ją skrzywdził, niech tego Bóg zabije!«

* * *

Ludzie! Wszak prawda, że czasami i niebo niby uśmiecha się i cieszy. Człowiek patrzy w górę, podnosi ręce, a słońce przelewa mu na pierś swe promienie i dusza jak niewidzialny dym kadzidła wznosi się ku niebios stropom. Tak, bogami, zdarza się to...

Z serbskiego przełożył L. Wasilewski.

Deklaracja dworów rosyjskiego i austrjackiego,

podpisana dnia 3 stycznia 1795 r.*

»Gdy starania, które najjaśniejsza imperatorowa przymuszona była łożyć w celu przytłumienia buntu Insurekcji, w Polsce wybuchłych w zamiarach najniebezpieczniejszych, zagrażających spokojności mocarstw sąsiednich, szczęśliwym skutkiem są uwieńczone i gdy Polska od wojsk jej zupełnie podbita i zawojowana została, najjaśniejsza imperatorowa zadufana w sprawiedliwości swej sprawy i w sile, której na zapewnienie jej tryumfu użyła, przewidując jaki jej koniec będzie, śpiesznie i poprzedniczo z dwiema (*sic*) aljantami: to jest z najjaśniejszym cesarzem austryjackim i z najjaśniejszym królem pruskim umówiła się względem mocnych środków do zapobieżenia podobnym rozruchom, które ją tak zatrwożyły i których związki, utrzymując ciągle zaburzenia w umysłach, przewrotnemi maxymami zarażonych, mogłyby prędzej lub później okazać się, gdyby temu stałym i silnym rządem nie zapobieżono; przekonani z doświadczenia, że Rzeczpospolita Polska zupełnie nie jest zdolna do ustanowienia sobie takiego rządu, lub też żyć spokojnie pod swemi prawami i utrzymywać się w niepodległości, wspomnieni dwaj monarchowie przez przywiązanie swe do pokoju i dobra swych poddanych, osądzili w swej mądrości za rzecz koniecznie potrzebną, aby Rzeczpospolita Polska między trzy pograniczne mocarstwa całkiem była podzielona. Najjaśniejsza imperatorowa, uwiadomiona o tych chęciach, z jej sposobem myślenia zupełnie zgadzających się, postanowiła traktować najprzód względem podziału tego, oddzielnie z każdym z tych dwóch wielkich sprzymierzeńców, a potem wspólnie dla ostatniego w tej mierze układu. Stosownie do tego najj. cesarz jegomość umocował niżej podpisanego do umówienia się względem tego z pełnomocnikami najj. imperatorowej wszech Rosji, t. j. z akt. tajnym konsyljarzem i vice-kanclerzem hrabią Osterman i akt. konsyl. i najwyż. marszał. dworu hr. Bezborodko i z akt. tajn. konsyl. i członkiem depart. interes. zagranicznych p. Markowem, którzy to stron obojga pełnomocnicy, rozważywszy dane sobie wzajemne projekta i znalazłszy je zgodnymi z wolą swych monarchów, zgodzili się na punkty następujące:

(Pierwsze dwa punkty określają granice zaboru Rosji i Austrji, z których pierwszy wynosił 2185 mil kwadrat. kraju, 332 miast, 5323 wsi, 1,176.590 mieszkańców, drugi zaś 824 mil kwadrat. 219 miast, 2765 wsi, 1,037.740 mieszkańców). — Trzeci punkt opiewa w dosłownem brzmieniu:

* Dokument powyższy przytaczamy, jako ściśle wiążący się z żałobną rocznicą ostatniego rozbioru. (Przyp. Red.).

3-tio. Wszelkie umowy zawarte w niniejszej deklaracji mają tęż samą moc i walor, jak gdyby w najuroczystszym traktacie były zapisane i akt ten ratyfikowany będzie od stron umawawiających się, ratyfikacje zas w przeciągu 6-ciu niedziel lub prędzej mają być zamienione.

4-to. Jak skoro ratyfikacje zostaną zamienione, obadwa dwory cesarskie komunikować będą akt niniejszy dworowi berlińskiemu i wezwą go do zagwarantowania zawartych powyżej między dwoma cesarskimi dworami umów. Dwory zaś nawzajem zezwolą, aby pozostała część Polski wcieloną była do monarchji pruskiej i obowiązują się zagwarantować jej także ten zabór.

5-to. Po uskutecznieniu wszystkich tych formalności każdy dwór stosownie do opisu niniejszego traktatu obejmie kraje i miejsca na niego przypadające w dowód czego akt niniejszy podpisaliśmy.

Działo się w Petersburgu dnia 3. stycznia 1795 r. Ludwik hr. Cobenzel ze strony cesarza niemieckiego, z drugiej strony rosyjskiego dworu z góry wymienieni wszyscy«.

Rozbiory i sprawozdania.

Dr. Józef Siemiradzki. »Za Morze!«. Szkice z wycieczki do Brazylji. Lwów 1894.

Gorączka emigracyjna, jaka przed niedawnym u nas czasem objawiła się wśród ludu włościańskiego, zwłaszcza w Królestwie, wywołała w szerokich kołach naszego społeczeństwa uzasadnione obawy o los tych tysięcy emigrantów, tem bardziej, iż ruch emigracyjny skierowany był do Brazylji, o której nic a nic nie wiedzieliśmy, chyba tyle, co się wyczytać nam udało w podręcznikach jeszcze na szkolnej ławie. Obawy te spowodowały kilku ludzi do podjęcia wycieczek do owej Brazylji, kraju, o którym różni różnie mówili. Tak więc wyjechał naprzód Dygasiński i w »Kurj. Warsz.« umieszczał swe korespondencje, malujące kraj ów w czarnych barwach. Po nim wyjechali Glinka i ks. Chełmicki, w końcu Hempel i Dr. Siemiradzki. Dzięki tym wycieczkom w zamorską Brazylję otrzymaliśmy kilka książek, traktujących o tym kraju. Do najpóźniej ogłoszonych należy właśnie książka Dr. Józ. Siemiradzkiego p. t. »Za Morze!« będąca przedmiotem niniejszego sprawozdania.

Dr. Siemiradzki w poprzednich swych rozprawach, traktujących o Ameryce, jakoteż w licznie wygłaszanych odczytach, okazał się stylistą niepoślednej miary, to też i książkę jego »Za Morze!« pisaną barwnie i potoczyście czyta się z przyjemnością, jak powieść jaką. Książkę Siemiradzkiego ocenić można z dwóch stanowisk. Jeżeli nie będzie się stawiać żadnych innych żądań od autora, jak tylko: chcemy poznać Brazylję, patrząc na nią z pokładu okrętowego, lub z balkonu hotelowego albo wreszcie z okien wagonu, wówczas Siemiradzki zadowolni nas w zupełności. Inna rzecz, gdybyśmy żądali od autora nakreślenia nam zwyczajów i obyczajów tamtejszych mieszkańców, ich urządzeń i wyobrażeń, wogóle nakreślenia nam obrazu społeczeństwa brazylijskiego; tego tam nie znajdziemy i o tem zupełnie od niego się nie dowiemy. Być może, że tylko to pierwsze leżało w zakresie autora, a wobec tego tylko z tego stanowiska zapatrywać się nam wypada na jego pracę. Właściwym celem wycieczki Dr. Siemiradzkiego było poznanie stanu Parana, dokąd głównie cały niemal ruch emigracyjny się skierował. Stosunki w osadach stanu Parany nakreślił więc autor dokładnie. Pierwsze rozdziały jego zresztą niezbyt obszernej książki opisują podróż morską do Brazylji, kilka zaś dalszych poświęconych zostało opisowi miast brazylijskich: Bahia, Rio Janeiro, Santos, Paranagua. Dopiero rozdział szósty i dalsze opisują nam Curitybę i wycieczki autora do licznych osad polskich.

Z opisów tych dowiadujemy się, że właściwem piekłem dla emigrantów są tylko »domy emigranckie« czyli baraki, w których choroby dziesiątkują biedaków. Gdy jednak emigranci dostaną się do kolonji, wówczas powodzi im się dobrze i w krótkim nader czasie dochodzą do dobrobytu. Czyli nauka, jaka się da wywnioskować z książki Dra Siemiradzkiego jest ta, iż, jeżeliby się powiodło urządzić schludne i wygodne, a prawdziwą opiekę darzące domy emigracyjne, w których emigranci zmuszeni są czekać całymi miesięcami, aż otrzymają wyznaczone dla się kawałki gruntów, wówczas cel emigracji nie byłby chybiony, przeciwnie, przyniósłby błogie skutki dla tych, którzy we własnej ojczyźnie chleba nie znajdują. *E. Br.*

Fr. Rawita-Gawroński. »Prawo bartne XVI. w. Przyczynek do historji pszczelnictwa. Lwów 1895.

Nader ubogą naszą literaturę, dotyczącą prawa bartnego, wzbogacił Fr. Rawita-Gawroński cenną broszurką pod powyżej zacytowanym tytułem. Rozprawka zajmuje się rozbiorem »Prawa bartnego Krzysztofa Niszczyckiego, starosty prząsnyskiego i ciechanowskiego, wydanego w r. 1559, prawa, będącego jednym z najcelniejszych pomników naszego prawa obyczajowego. Na podstawie tego »prawa Niszczyckiego« odtworzył autor obraz bartnictwa w puszczy Mazowieckiej. Za dalekoby nas zaprowadziło, gdybyśmy usiłowali przedstawić czytelnikowi za autorem, jak w owym czasie wyglądała organizacja gminy bartnej i cała jej »juryzdykcja bartnicza«, zwrócić nam jeno wypada uwagę, że dla każdego, kto się zajmuje historją rolnictwa, a w szczególności historją pszczelnictwa, nieodzownem jest zapoznanie się z pracą p. Rawity-Gawrońskiego. *E. Br.*

PRO MEMORIA.

5. lutego 1863. Powstańcy odnieśli zwycięstwo nad Maniukinem pod Siemiatyczami.

6. lutego 1832. Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie zostaje zniesione przez Moskwę.

6. lutego 1863. Przegrana pod Węgrowem.

8. lutego 1863. Moskwa zawarła konwencję z Prusami przeciwko Polakom.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.